

A large, bold, black letter 'I' graphic that serves as a background for the author's name and the title. The letter is stylized with a thick vertical stem and a curved tail at the bottom left.

Jarosław
Iwaskiewicz
Opowiadania
filmowe

Wstępem opatrzył JANUSZ MAJEWSKI

MARGINESY

Copyright © by The Estate of Jarosław Iwaszkiewicz.

All rights reserved.

Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency.

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Copyright © Preface by Janusz Majewski

BRZEZINA

I

Już w samym sposobie, jakim Staś wysiadł z bryczki przed gankiem, było coś, co rozdrażniło Bolesława. Wyleciał, raczej wyfrunął z żółtego ekwipażu. Przede wszystkim Bolesław zauważył szafirowy kolor skarpetek. Spod przykrótkich i luźnych spodni kolor ten wydobywał się dobitnym akcentem. Oblegał on niezmiernie chude kostki nóg Stasia. Chociaż poza tym Staś wyglądał zupełnie dobrze. Od owego szafirowego koloru Bolesław podniósł wzrok ku niebieskim oczom brata. Były niezmiernie wesołe. Stach uśmiechał się nimi, naokoło ust w uśmiechu tworzyło się wiele zmarszczek, które zbiegały się w jeden punkt. Ucałowali się, a pierwszą życzliwą myślą Bolesława było: „Chwała Bogu, zupełnie zdrów”.

Nie widzieli się bardzo dawno. Staś dwa lata siedział w swoim sanatorium, ale jeszcze przedtem nie widzieli się lat parę. Bolesław od dawna zakopał się w tej leśniczówce, a Staś nie zaglądał tutaj. Być może, że nie poznałby go teraz.

– Jak się masz? – zapytał po chwili milczącego ściskania się Bolesław.

– Doskonale!

– Dobrze, żeś sobie o mnie przypomniał.

– Cóż miałem robić? Doktorzy chcieli koniecznie, żebyjechać do lasu. No więc gdzież, jak nie tu?

Mówił to wszystko, przerywając co chwila krzątaniem się. Zbiegł cztery schodki do bryczki, wyciągnął z niej dość lekki kuferek, postawił go na werandzie, zrzucił elegancki gumowy płaszcz, rękawiczki, wreszcie podróżną czapkę, dokładnie taką samą, jaką Bolesław widywał na reklamowych rysunkach ilustrowanych pism. Zaraz siedli do śniadania, nakrytego na ganku.

– Szalenie jestem zmęczony – ciągnął Stanisław. – Dwa dni i dwie noce.

Mała Ola przysła z głębi domu. Miała niebieskie, nieco wystraszone oczy. Dźwigała w ręku lalkę, dość oskubaną. W milczeniu dygnęła przed stryjaszkiem.

– Boże! Jakaż ogromna! – zawołał Stanisław.

Bolesław nic nie mówił.

– Ale lalkę ma straszną! Widziałem takie śliczne lalki za granicą. Zapomniałem jej przywieźć. To doprawdy nieczuły ze mnie stryjcio!

Ola zeszła z ganku i szła sobie spokojnie w las. Las zaczynał się bezpośrednio za drogą, która przedzielała go od leśniczówki. Dzień był brzydki, bo kapało ciągle. Bór pozbawiony był w tej stronie poszycia i Staś, opowiadając z ożywieniem o swojej podróży, widział, jak bledziutka sukienka Oli migąta pomiędzy pniami. Zatrzymał się na chwilę.

– Tak ją puszczasz samopas? – zagadnął starszego brata.

Ten wzruszył ramionami.

– Więc mówię ci, że jak tylko zjechałem w doliny... – ciągnął Stanisław – uczułem szalone zmęczenie. A cóż dopiero w tej naszej Polsce. Myślałem, że ta droga tutaj nigdy się nie skończy, lasy i lasy, nie wiadomo, skąd tego tyle tutaj.

– Tak, tylko że nie bardzo ładne. Bór.

– To nic nie szkodzi. Bardzo lubię sosnowy las. Doktorzy mi ciągle nim głowę zawracali, do sosnowego lasu, koniecznie do sosnowego lasu.

– Tu za domem jest bardzo ładna brzezina! – Bolesław wskazał ręką, nie oglądając się w tamtą stronę.

Dzień był pochmurny i z lasu dolatywał lekki szelest ocierających się o siebie igieł.

– Wiesz, przez dwie godziny słuchać tego szelestu igieł i tego piasku pod kołami to strasznie jednostajne! – ciągnął wciąż Stanisław, nie tracąc dobrego humoru. – Męczy mnie trochę monotonia tutejszej okolicy. Jak się czujesz?

Bolesław ruszył znowu ramionami. Ustami wydał dźwięk nieokreślony.

– Ale do tej małej to powinienes wziąć jakąś opiekunkę.

– Myślałem...

– Samo „myślałem” nie wystarcza...

Stach szeroko odsunął krzesło i wziął za ucho walizkę.

– Gdzie mam mieszkać?

– Z sieni na lewo.

Bolesław posunął się nieco z krzesłem, tak że patrzył na drogę. Niebo pomiędzy dachem ganku a lasem pociemniało gwałtownie i deszcz się zagęścił. Słyszał, jak Stach gospodaruje w swoim pokoju. Otwarte okno mieściło się tuż obok werandy. Skubał ciemną brodę. Słyszał, jak brat rozgrzebywał się. Wyjmował rzeczy z kuferka, mył się po podróży. Wszystko to, nucąc. Nie przestawał nucić ani na chwilę modnych piosenek europejskich, wiatr zawiął inny od tych melodyj. Bolesław zmarszczył brwi i zagryzł brodę, pakując ją sobie do ust ręką.

Stach otworzył drzwi od swego pokoju do następnego. Bolesław słyszał, jak w miękkich pantoflach poczłapał dalej, jak otworzył drzwi do sionki, pewnie zajrzał do kuchni. Wracał potem drugą stroną leśniczówki przez pokój Oli i jego. Cztery pokoje, całe gospodarstwo.

– Obejrzałem cały dom – powiedział Stach, stając w progu.

– Zapomniałem, że nie masz fortepianu. Zdawało mi się, że

masz, i szukałem go wszędzie. Tu strasznie będzie nudno bez fortepianu. Czy w Sławsku nie można wynająć?

Bolesław nic nie odpowiedział.

– My się tu z Olą zanudzimy na śmierć.

Nawet to ostatnie słowo nie obudziło Bolesława z odrętwienia. Myślał tylko: „Boże, Boże, po co on tutaj przyjechał?”.

Tymczasem Stach nalał do szklanki gorącej wody z czajnika, który stał na stole. Poszedł się golić. Po chwili wynurzył się z okna z twarzą całą w mydlinach:

– Czy ty konno nie jeździsz?

– Ja nie, ale mam siodło.

– A koń?

– Ten prawy – mruknął Bolesław.

– Chodzi?

– Hm, Janek mówi, że bardzo dobry.

– To doskonale. Będę jeździł konno. – Stanisław cofnął się.

Po chwili znowu doleciało do Bolesława pytanie:

– A do Sławska to jak daleko?

– Przecie stamtąd jedziesz.

– Ale na mile?

– Ze dwie, dwie i pół może...

– Czy fortepian dałoby się przywieźć?

– Sam widziałeś, jaka droga...

– No rzeczywiście, ale jak wyschnie?

– To będzie piach.

– Ale dałbyś mi ewentualnie konie?

– A dajże mi już spokój z tym fortepianem!

Bolesław zniecierpliwiał się. Wstał i poszedł do kuchni.

Staś nie przestał nucić, goląc się. Patrzył, jak przez drogę przekradała się zmoknięta Ola. Nie przyśpieszyła jednak kroku. Z wolna przechodziła przez koleiny, kryjąc lalkę pod chusteczką. Stanisławowi na ten widok serce się ścisnęło.

– Oho! – powiedział sam do siebie. – Będzie tu ciężko.

Stara służąca, Katarzyna, sprzątała po śniadaniu na werandzie. Ola usiadła w kąciaku na małym stołeczku i coś gadała do lalki.

Stach przypatrywał się drobiazgom, które mu przypominały pobyt za granicą. Rozstawił je na małej, zgrzybiałej i brzydkiej toalecie, która stała w rogu. Oglądał fotografie: on, miss Simons i Duparc na śniegu w Davos. Uśmiechnięte twarze. Inny zapach tamtych przedmiotów. Otaczała go woń sosnowych zwyczajnych mebli i podłóg świeżo wymytych. Gdy wyszedł na ganek, wyjaśniło się.

– Olu, chodź na spacer. Pokażesz, gdzie brzezina.

Ola wstała bez słowa i wzięła go za rękę. Poczł rączkę chudziutką i zimną. Pomału zeszli ze schodów. Z dachu kapąły ciężkie krople.

– Jak deszcz pada od rana, to potem pogoda – powiedziała poważnie malutka.

Obeszli dom dookoła. I rzeczywiście z tamtej strony była prześliczna brzezina. Pnie ciągnęły się ku górze jak śnieżyste filary, chrupkie, zdawało się, że z cukru czy ze śniegu. Strugi wątych liści spadały z góry, ale widać było tylko perspektywę białych filarów.

– Ładnie tu – powiedział Stach bez uśmiechu.

Ola nic nie odpowiedziała. Szli po wilgotnej trawie, potem wydeptaną ścieżką. Białe pnie gęstwiły się w mgliste perspektywy, między drzewami wilgoć zaczęła parować. Miało być słoneczne południe.

– To tylko taki majowy deszczyk – Ola ciągnęła pomalutku wątek swych myśli.

Stanęli przed mogiłką usypaną z żółtego piachu, poczerniałego już, ale niepokrytego trawą. Mogiła ogrodzona była białym brzozywym płotkiem, bardzo zwyczajnej struktury; po prostu powtykano na krzyż patyki. Ogromny krzyż brzozywy stał nad mogiłą, biały jak pnie otaczających drzew. Stach zdziwił się:

- Co to jest?
 - To mogiłka – odpowiedziała Ola.
 - Czyja?
 - Jak to czyja? Mamusi.
 - To mamusia tutaj pochowana? Dlaczego nie na cmentarzu?
 - Taki świat – odpowiedziała Ola – a tutaj bliżutko.
 - Pewnie, że bliżutko, ale czyż nie można było na cmentarzu?
 - Roztopy były straszne. Ksiądz wikary konno przyjechał.
 - To było na wiosnę?
 - Konno, spowiadał mamusię i już tutaj został. Dwa dni siedział, nie mógł się ruszyć, woda wszędzie wylała.
 - Poświęcił tę ziemię?
 - Poświęcił. Mówił, że nie można w niepoświęconej ziemi.
 - Namawiał, żeby wieźć do Sławska.
 - A tatuś co?
 - Tatuś nie chciał. Powiedział: można w brzezynie. Tu ładne miejsce.
 - Ładne!
 - Bardzo ładne, ale ja tu nie lubię chodzić.
 - Nie lubisz?
 - Nie lubię. Chodzę tylko z tatusiem. Tatuś się modli.
 - Tatuś...
 - Tatuś codziennie chodzi z rana albo pod wieczór, a w niedzielę to się tu modli ze mną. Czyta z tej książki, co mamusia miała.
 - A ty pamiętasz mamusię?
 - Pewnie, to ledwie rok minął.
 - Prawda. Już rok. A ja się dowiedziałem dopiero na jesieni.
- Twój tatuś rzadko pisuje.
- Tatuś nie lubi listów.
 - Ja pisałem częściej.

– Ale tatuś nie lubi listów stryjcia.

– Czytał ci co kiedy?

– Nie... Kiedyś czytał, jak stryjcio saneczkami jeździł. Ja też mam saneczki, ale tutaj nie ma żadnej góry. A w Szwajcarii duże góry?

– Ogromne. Pokażę ci fotografie.

– To chodźmy już do domu. Stryjcio pokaże fotografie.

Zaczął pokazywać jej fotografie, ale dziewczynka wkrótce się znudziła. Zresztą nie bardzo rozumiała, co to znaczy „hotel”, „sanatorium”, „Szwajcaria”. Staś siedział na ceratowej kanapce, która stała w jego pokoju, i fotografie zsunęły mu się z kolan. Spoglądał bezmyślnie w okno, gdzie spoza pni sosnowych poczęły przebiegać promienie. Igliwie między sosnami kurzyło się mocno; przestrzenie pomiędzy pniami napełnione były mgłą i wyziewami. Zresztą nie obserwował zjawisk przyrody, nawet nie myślał o tym, co się w nim dzieje. Trwał w spokoju, chciał nawet bezmyślności. Po chwili powtórzył:

– O, ciężko tu będzie.

Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z atmosfery, ale już wiedział, że nie będzie dobrze. Przerzątał go stan brata i na próżno starał się sobie to wyobrazić, ale ponieważ nie przeżył żadnej straty naprawdę, nie przychodziło mu to z łatwością. Przy śmierci matki był nawet obecny, ale sam fakt wydawał mu się nierzeczywisty. Potem nie mógł tego zrozumieć ani odczuć, tak jakby matka była zawsze w drugim pokoju. A jeszcze potem przyzwyczaił się, że nigdy nie wchodziła do tego, w którym on był. A tymczasem tutaj ta piaskowa mogiła w brzezynie była czymś nie do odrzucenia. Wciąż ją miał przed oczami i siatkę białych pni, które w oddali zacierały się i tworzyły biały rozpylony kolor, jakby namalowany muśnięciami pędzla.

Tymczasem Bolesław siedział po drugiej stronie sieni, na łóżku, i patrzył na ten sam mniej więcej pejzaż sosnowy, na dym między pniami i na pierwsze blaski, ożywające na mokrych

liściach poszycia, które dopiero owe promienie słoneczne odkrywały w wysuszonej koronce boru. Tylko że myśli Bolesława jeszcze mniej były sprecyzowane niż myśli młodszego człowieka. Z mgły, jaka go otaczała od śmierci żony, nie wywoływało go żadne zjawisko, wszystko widział przez siatkę. Bardzo to przeszkadzało oczom, ale nic więcej. Na mogiłę zachodził, to prawda, w niedzielę tam z Olą odprawiał pacierze, które tym gorzej drażniły go, że był niewierzącym. Mogiła, ciało – nie istniały dla niego, czuł naprawdę śmierć owej brzydkiej, choć miłej kobiety, która była jego żoną przez lat kilka. Czuł, że jej nie ma. Pamiętał, że umarła. Pamiętał, że umierała, jak umierała. Było to wszystko jedynie rzeczywiste, wszystko inne nie. Nie dlatego skarpetki brata były czymś tak okropnym, a ich kolor miał męczyć Bolesława w nielicznych snach jego. Świat, od którego oddzielił się chłopak, aby zamącić mgłę pomiędzy pniami sosen, był czymś przerażającym. Przybycie Stanisława było przybyciem Marsjanina. A jednocześnie wywoływało nieodparte poczucie rzeczywistości, którego Bolesław był pozbawiony w ciągu ostatniego roku.

Myślał o tym (po raz pierwszy), że to już rok, że Basia musiała się w trumnie straszliwie zmienić; że nigdy nikogo już nie będzie kochać, że Ola pewnie jest strasznie zaniedbana, bo on wcale o tym nie myślał, że trzeba sprokurować jakąś nauczycielkę, jednym słowem, że jakoś należy iść. Dokąd i po co, na razie nie myślał, no ale że trzeba iść. To już było bardzo wielką odmianą. Zawdzięczał ją temu nieznośnemu przyjazdowi Stasia.

Wtem na schodach, potem na werandzie rozległy się mocne kroki silnych i bosych nóg. Dziewczyna gorąca od biegu zakryła nagle sosny przed Stasiem swym cieniem.

– Gdzie pan?

Nie zdążył odpowiedzieć. Głos Bolesława odpowiedział z okna, położonego po przeciwnej stronie drzwi werandowych.

Okazało się, że strażnik Janek, brat dziewczyny, który mieszkał na podwórzu, wybił ręką szybę w drzwiach wejściowych; głęboko rozciął dłoń, trzeba było przewiązać mu ranę, wyjodynowawszy należycie. Zajęli się tym obaj bracia, przy tej okazji Stanisław poznał podwórze i jego mieszkańców.

Nie było ich wielu, strzelec z siostrą i matką oraz kilkunastoletnich dwóch wyrostków do pasania krów i koni, Edek i Olek. To wszystko. Podwórko było małe, czyste, ale smutne. Konie i krowy mieściły się w czerwonym budynku na parterze, na piętrze było mieszkanko, w którym odbywała się operacja. Dwa pokoje strzelca i pokoik chłopaków. Okienka były małe i światła było w nich niewiele. Sosny zaczynały się zaraz za ścianami tego domu, który do połowy był stajnią. Osobno jeszcze stały: szopa, wozownia, kurnik, chlewik.

Stanisław wracał do domu jeszcze smutniejszy, jeszcze bardziej zniechęcony. A przy tym nie opuszczało go zmęczenie po długiej drodze, potniał co chwila. Powietrze po deszczu było jednak parne i pogoda, która się ostatecznie ustaliła po południu, nie zapowiadała się na długo. Położył się na ceratowej kanapce i cierpliwie czekał na obiad. Bolesław chodził bez przerwy po pokoju, choć ciasno tam było pomiędzy jego łóżkiem a Oli. Dziewczynka wraz z lalką siedziała w tym samym pokoju, w kąciку za łóżkiem. Bolesław w chwili pustki w głowie słyszał, jak uczy lalkę pacierza.

II

Inne dni po przyjeździe Stasia były zupełnie podobne, z tą może różnicą, że Bolesław mniej przesiadywał w domu. Nie tylko musiał jeździć po lesie, doglądać to tej, to owej roboty, być na porębie i na tartaku, które leżały dość daleko od siebie, ale także jeździć nawet do miasteczka. Nie był tam od roku, droga teraz była trochę lepsza, przypomniał sobie mnóstwo

niezależnych od tak dawna spraw, pojechał. Wolał unikać sam na sam z bratem. Jego stroje, sposób mówienia i bycia rozdzierały mu zabliźnioną prawie ranę. Nie mógł znieść tej zamysłonej radości życia, jaka była wszędzie w Stasiu: w ruchu, słowie, śmiechu. Nie przyznawał się Bolesław, ale we własnym bracie widział tyle czaru, tyle ujmującego wdzięku, którego nie mógł za nic w świecie przyjąć do wiadomości. Nie rozumiał, w jakim znaczeniu, ale ten czar, ten wdzięk odrywały go od Basi. Wolał więc siedzieć na tartaku i słuchać, jak się kłócili Żydzi. Spóźniał się na obiad, ale Staś czekał cierpliwie, miał zwyczaj chodzenia na bardzo dalekie spacery z Olą i bardzo to go męczyło. Bolesław często zastawał go na ceratowej kanapce, wieczorem kładł się wcześniej do łóżka i nie chciał wychodzić po zachodzie słońca.

– Został mi jeszcze taki zwyczaj z sanatorium – powiedział do brata.

Był bardzo miły, ale wciąż bardzo nietaktowny, śmiał się, żartował, śpiewał i gwizdał. Ola poweselała trochę przy stryjaszku i nauczyła się dwu piosenek niemieckich, jakie jej śpiewał Staś. Dotychczas nigdy prawie nie śpiewała, a teraz nuciła wieczorami lalkom, ułożonym w kołyskach z kory brzozy. To jeszcze bardziej męczyło i drażniło Bolesława.

Znowu padało i znowu się wypogodziło, i właśnie nadeszły księżycowe noce. Ola bardzo późno kładła się spać, tego wieczoru siedziała u stryja na kanapce i patrzyła, jak pomiędzy sosnami przedziera się czerwone światło wschodzącego satelity. Zamilkła ze zdziwienia, bo Staś opowiadał jej, jak wschodzi księżyc w jasnym powietrzu gór, o tym, jak widział zaćmienie pełni, wyłaniające się zza czerwonego grzbietu naprzeciwko ich sanatorium. Mroźno wtedy miało być i powietrze lekkie od czystości z sykiem dostawało się do gardła. Mała była przerażona. Ale księżyc z czerwonego stał się biały i między sosnami powstawały bardzo jasne plamy.

Potem poszli na spacer pomiędzy brzozy. Chodzili tam i z powrotem i Stasiowi wydawało się wszystko nierzeczywiste. Trzeba było dużej siły woli, aby wciąż jeszcze śmiać się i żartować, trzymając małą bratanicę za rękę. Gdy zbliżyli się w stronę mogiłki, Ola stanęła i nie chciała iść dalej, ale powiedział do niej łagodnie, że nie powinna się bać, że tam nie ma nic straszego. On by także chciał leżeć – jeżeli już przyjdzie pora – w tym piasku pośród tych marmurowych pni. Zbliżyli się do ogrodzenia, ale zobaczyli Bolesława. Stał tylko, ale w jego opuszczonej głowie i złamanej postaci tyle było wymowy, że Staś się cofnął.

– Tam stoi tatuś – powiedziała Ola.

I wrócili już w milczeniu do swojego domu. Ola poszła spać, stara kucharka, Katarzyna, ułożyła ją do łóżeczka, a Stanisław znowu począł patrzeć na pnie sosnowe, niebieskie od księżycowego światła.

Bolesław wszedł nagle do jego pokoju. Widział ich, jak odchodzili od niego i od mogiły, i nie mógł się powstrzymać od jakichś gorzkich słów, ale Stanisław nic z tego nie rozumiał. Potem poszli do jadalni i pili jeszcze herbatę w milczeniu, nareszcie Bolesław zaczął opowiadać o wszystkim od początku. Widać było, że robi mu to wielką ulgę, to gadanie, że nie tylko zrzuca ciężar z siebie, ale jednocześnie przełamuje te lody, które oddzielały go od brata. A więc od początku: jaka Basia była, cicha, dobra, zwyczajna, ale niezwykle miła; jak w ogóle była słabowitego zdrowia od samego urodzenia Oli; jaka to wtedy była bardzo śnieżna zima, jak potem przyszły fatalne roztopy i ksiądz musiał konno przyjeżdżać. To wszystko, co Stasiowi streściła Ola w pierwszej ich rozmowie, ale o wiele bardziej szczegółowo, z powrotami do tematów już poruszonych, z refrenami; mówił bardzo niezdarnie, prymitywnie, ale Staś słuchał uważnie i nie spuszczał oczu z niego. Jeżeli wydawało mu się, że opowiadanie brata było prostackie,

to jednak czuł poprzez siłę cierpienia całą moc i trwałość organizmu, całą siłę charakteru dobywającą się z prostych słów. Myślał, że jednak on jest mocnym człowiekiem, który potrafi strasznie cierpieć i szalenie kochać. Słuchając gadania, które tak dokładnie odbijało charakter, porównywał siebie ze starszym bratem i uśmiechał się z politowaniem. Nic głębokiego, wszystko po naskórku, a ot i koniec. I nic z tego nie będzie.

Bolesław nie był zadowolony ze swego wygadania się, poszedł zaraz do siebie i długo nie spał. Zdawało mu się, że Staś przyjął to wszystko za bardzo obojętnie, nie przejął się, nie okazał należytego zainteresowania. Myślał, że to wyznanie, które pokaże Stasiowi, co się w nim dzieje, pozwoli im na większy kontakt. Tymczasem Staś nazajutrz był jeszcze bardziej obcy, jeszcze bardziej wesoły i niedostępny. Zaczęły do niego (poczta przychodziła dwa razy na tydzień) napływać listy z zagranicznymi markami, które starannie wycinał i darowywał Oli. Dnie zaczęły się teraz ładne i chodzili na spacer. Bolesław z werandy czy z lasu obserwował z daleka wysoką, szczupłą postać Stasia, w szarym ubraniu; zlewał się prawie z szarą poświatą, jaka powstaje w sosnowym lesie: był prawie niebieski, a białe włoski Oli wyglądały niby słoneczna plama, ciągnąca za nim.

Ostatecznie Stanisław nie wytrzymał i zdecydował się sprowadzić fortepian ze Sławska.

III

Była to cała wyprawa argonautów. Naprzód Staś pojechał do miasteczka w towarzystwie owego strzelca, co przeciął sobie rękę. Droga była daleka i monotonna w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Nie można było ciągle zachwycać się lasem i drzewami, i akurat Staś poczuł się od paru dni gorzej, miał, zdaje